

Ukraina – Hoverła

Cel – Hoverła (2061 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2007

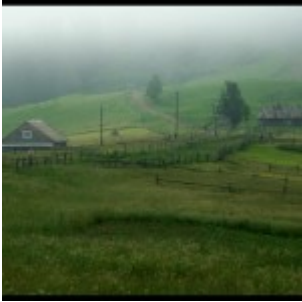
Kto – Dziku

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku

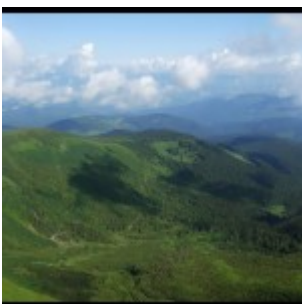
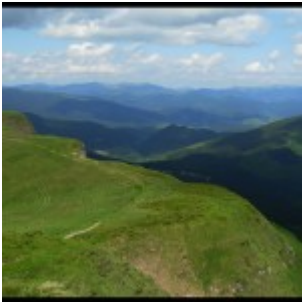
Dziku'2016: Po prawie 9 latach z przyjemnością przeczytałem relację z mojego pierwszego w pełni samodzielnego wyjazdu. Poniżej prezentuję nową odsłonę. W minimalnym stopniu przeredagowałem tekst, z którego usunąłem niecenzuralne słowa i jeden błąd ortograficzny oraz przebrałem i delikatnie poprawiłem zdjęcia. Zdecydowałem się też dodać kilka komentarzy, to te pisane kursywą.

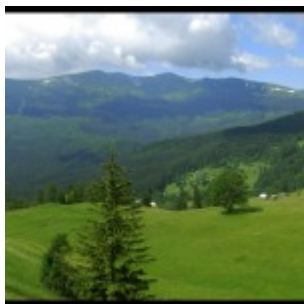












Dziku'2016: Wyjazd na Ukrainę w 2007 roku był jednym z pierwszych wyjazdów związanych tylko i wyłącznie z Koroną Europy. Rok wcześniej nieco przypadkiem zdobyliśmy z przyjaciółmi Ben Nevis w Szkocji, wkrótce potem pojechałem z grupą nieznanych mi wcześniej osób do Rumunii i to zaowocowało wejściem na Moldoveanu. Następnie wziąłem udział w najprawdziwszej turystycznej wycieczce (tak, tak, z biurem podróży) do Grecji i tam, już z własnej inicjatywy wspiąłem się na Mitikas. Zatem Hoverla była moją zaledwie czwartą górą Korony Europy (nie wliczając Śnieżki). Ten brak doświadczenia można wyczuć już w pierwszym akapicie. Niepewność, nieuzasadnione obawy no i przede wszystkim: głębokie przeżywanie wszystkiego wokół, wzmocnione tym bardziej, że jechałem tam sam.

Dzień 1

Sobota minęła dobrze. Pociąg zaliczał stacje z dokładnością do 15 sek. Bus z Krakowa wyjechał punktualnie a na granicy ominął bocznym gigantyczną kolejkę i już byłem na Ukrainie. W ogóle spodziewałem się jakichś nieprzyjemności na granicy ale się jakoś obyło. No może poza zamieszaniem z Karteczkami. Piszę

przez duże K bo te Karteczki to muszą być niezwykle ważne dla Ukraińców. W każdym dialogu kierowców z celnikami wyławiałem słowo Karteczka. Coś tam nawet pani po ukraińsku na mnie nakrzyczała, że niby coś źle wpisałem na Karteczce i żebym dał jej różdżkę to poprawi.

Jako że bilans musi wyjść na zero obawiam się o jutro. Cosik to za gładko dziś poszło.

Ale żeby nie było że tak wszystko gra gitara to widziałem pod Przemyślem niemiły wypadek. Kolizja samochodu z wozem ciągniętym przez konie. Przykro mi się zrobiło jak zobaczyłem martwego konia na jezdni, ale już sekundę później zryty umysł podsunął mi wizję czarnego plastikowego worka w kształcie konia.

Aha no i jeszcze pierwszy sik po ukraińskiej stronie – w obleśnej ubikacji stojąc przy pisuarze skapała mi na włosy ciecz z groźnej czarnej dziury ziejącej w suficie dokładnie nade mną. Pierwsze co pomyślałem, to że tam u góry też ktoś sika...

Dzień 2

O 8 rano jestem już w Jasinii, która będzie moją bazą wypadową.

Jazda z Iwano-Frankowska busem była dosyć wyjątkowa.

Pokrótkce: do busa (miejsc siedzących 18) wchodzi 27 pasażerów, z czego połowa ma wielkie torby, dechy, reklamówki i tylko zwierząt hodowlanych brakuje. Wszyscy zajmują miejsca na chybił trafił – siedzące lub stojące. Dopiero gdy jest komplet i bus odjeżdża zaczyna się cyrk:

Ludzie mający na biletach numery miejsc siedzących zaczynają się rozglądać za swoimi siedzeniami. Fotele oznaczone są metkami cenowymi, z czego część się odkleiła i teraz dojdź tu za pomocą logiki które miejsce jaki ma numer. Po parunastu minutach akrobacji (w pewnym momencie stałem na palcach jednej nogi zgięty w pasie o 90 stopni) wylądowałem na końcu busa. Stamtąd łatwo mogłem stwierdzić, że w ciągu tego krótkiego czasu miejscami zamienili się prawie wszyscy z wszystkimi.

Właściwie poza kierowcą nie zauważyłem głowy która by przed odjazdem znajdowała się w tym samym miejscu.

W każdym razie dotarcie z Wrocka w Czarnohorę w 20 h uważam za sukces i nie przejmuję się że do wieczora pada i nie udaje mi się wejść na Bliźnicę.

A wieczorkiem – wychodzi słońce i wyruszam na rekonesans przed jutrzejszym wyjściem w góry. Spacer owocuje nowymi znajomościami – na wzgórzu, na skraju lasu natykam się na grupkę piknikujących młodych Ukraińców. Nie zjedli mnie, natomiast poczęstowali mnie owczym serem, kiełbasą, mięchem z barana (podobno) no i wódką oczywiście.

Ja mówiłem po polsku, oni po ukraińsku, ale jakoś wszystkim się wydawało, że wszystkich rozumieją.

Jeszcze w miasteczku walnęliśmy po browarku w rodzinnym barze i połażłem spać. Jutro ruszam na Pietrosa i Howerlę.

Dzień 3

Dziku'2016: „Teraz tylko strome zejście, przełęcz...” hahaha jak widzę już wtedy miałem specyficzne podejście do tempa i odległości. Tym bardziej, że na jednym ze [zdjęć](#) widzę, jaki to był spacer z samego Pietrosa pod Howerlę. Dodatkowo w plecaku namiot, śpiwór i prowiant. Organizmu fizycznie nie oszczędzałem, dodatkowo od początku do dziś (w nieco mniejszym stopniu) cechuje mnie ignorancja, jeśli chodzi o uzupełnianie kalorii. Ale decyzja, by będąc tak blisko szczytu zawrócić z powodu chmur na choryzoncie zasługuje na pochwałę.

Podejście na Pietrosul (1855) na początku całkiem przyjemne. Z rana trochę przeszkadzała bardzo gęsta mgła ale kompas dawał radę. Zdjęcie przy pomniku armii czerwonej. Pojawia się słońce. Jest git.

Co jakiś czas spotykam pasterzy, którzy chętnie pomagają – wskazują drogę, dostają świeżutką wodę prosto ze studni, a nawet mleko – do wyboru – słodkie lub kwaśne. Jak tu się nie czuć bezpiecznie.

Po dotarciu niedaleko Pietrosula robię trochę głupią rzecz w związku z nawigacją i zamiast opuścić ścieżkę i iść dalej

granią do bliskiego już szczytu zaczynam trawersować grzbiet drogą z drugiej strony cały czas tracąc wysokość. Gdy podejmuję decyzję żeby leźć na skróty prosto na górę jest już trochę za późno i czeka mnie mordercze podejście stromizną przez gęsty las. Najgorsze były gałęzie zaczepiające na każdym kroku o plecak i wbijające się w karimatę no i wizja ugryzienia przez żmiję na takim odludziu. Po jakimś czasie docieram jednak na połoninki i porządnie zczochrany stoję na Pietrosulu (1855).

Tu odbywa się pogrzeb Miśka w Kulce. Misiek pochodzi z Chin (napis 'made in china' na pleckach) ale ja znalazłem go wkopanego w piasek na plaży w Grecji. Przygarnąłem go do swojego plecaczka i od tamtej pory towarzyszył mi praktycznie wszędzie. Zarówno codziennie jechał ze mną do pracy jak i na wyprawy wszelakie i w ogóle wszędzie. Dzisiaj sekundę po zrobieniu mu zdjęcia z Pietrosem w tle Misiek stoczył się pomiędzy kamienie kopczyka usypanego na szczycie. Mimo próby rozgrzebania kopczyka nie byłem w stanie go odnaleźć. Myślę że jego historia jednak się nie skończyła i albo odnajdzie go tam jakiś turysta i Misiek znów zacznie podróżować albo sam zorganizuję misję ratunkową. Może to była Jego decyzja żeby tam pozostać... Poprawiłem kopczyk i wbitego w niego patyka i poszedłem na Pietrosa (2020).

Teraz tylko strome zejście, przełącz, znów podejście i stoję na grani 30 min od szczytu Howerli (2061).

Tu wahanie – słyszę jakieś grzmoty, robi się ciemno. Ja zmęczony jak diabli więc nie wbiegnę na górę za szybko. Jest 17:30 a ja od rąca maszeruję z pełnym plecakiem. W sumie tego dnia zrobiłem już około 1800 metrów przewyższenia. Iść nie iść – kręcę się w kółko. Kolejny grzmot, ulewa i już bez żadnych wyrzutów sumienia zbiegam z 1850 na jakieś 1550 m wysokości, gdzie koło chatki strażników parku zamierzam rozbić namiot. Tam niespodzianka. Chatka otwarta a w drzwiach brodac, który woła że miejsca jest dużo i żebyśmy weszli do środka. Pierwsze co widzę po wejściu to wyciągnięta w moim kierunku ręka trzymająca butelkę śliwowicy.

Moi towarzysze okazali się czeskimi badaczami owadów.

Najstarszy z nich – 51 letni 'Ruda' zwiedził już chyba cały świat. Opowiadał mi o każdym miejscu o które zapytałem. Od Madagaskaru, RPA, Kenię i w ogóle całą Afrykę przez całą Europę po Ural, Tien Szan i Mongolię w Azji. Koleś był chyba naprawdę wszędzie. Po paru godzinach rozmów idziemy kimać. Mi się dostaje miejsce przy oknie. Unoszę troszkę głowę i widzę czubek Howerli. Tak blisko a ja muszę całą noc czekać. Chyba przez to prawie całą noc nie spałem. No i może jeszcze za sprawą chrapiących Czechów.

Dzień 4

Dziku'2016: To o czym już wcześniej wspomniałem, czyli nieoszczędzanie organizmu i niedawanie prawie nic w zamian prędzej czy później wychodzi. Tak było na Ukrainie i tak było na wielu późniejszych wyjazdach. Długo nie potrafiłem się nauczyć, że jak się nie zatankuje to się nie pojedzie. Do tego sprzęt, którego wtedy używałem nie pomagał. Z butami trafiłem ale o odzieży termoaktywnej nie słyszałem. 2 miesiące później w tym samym podkoszulku, klasycznej „żonobijce” będę zdobywał Zugspitze w Alpach. Ze zdjęciami faktycznie miałem problem, klikałem z automatu. W domu byłem rozczarowany, że zdjęcia były tak prześwieczone. Za to pod akapitem zamieściłem krótki filmik dokumentujący wejście na szczyt. Te ostatnie metry to charakterystyczny moment, kiedy niepewność ustępuje. Pojawiają się inne emocje, na różnych szczytach różne. Zależne od wielu czynników, na pewno nie od wysokości nd poziomem morza. I w tej chwili nie liczy się nic innego.

O 7:20 startuję na górę. Znów te same co wczoraj słupki informujące o wysokości na jakiej się znajduję. 1600, 1700, 1800... odległość, którą wczoraj dysząc pokonywałem chyba z godzinę dziś po prostu przebiegam. W 55 minut od wyjścia z chatki stoję na szczycie (500 metrów przewyższenia). Howerla (2061) – najwyższy szczyt Ukrainy. Widoczki cudne, zresztą jak i podczas całej wycieczki. Nistety trudno mi zrobić dobrą fotkę bo się na fotografice kompletnie nie znam. Obiecuję sobie że następnym razem przestudiuję manuala zanim się gdzieś

wybiorę.

W momencie gdy zaczynam schodzić przylatuje bardzo gęsta chmura. Złazę w złym miejscu i gdy chnęę wywiało zdaję sobie sprawę że stoję nad strasznymi stromiznami. Jakbym tamtędy schodził dalej znalazłbym się na dole znacznie szybciej niż wg czasu z przewodnika. Wędrówka połonią Gropa (1670) niezapomniana. Po prawej cały czas widoczna Howerla od podstawy aż po szczyt, po lewej Pietros w chmurach, w słuchawkach soundtrack z 'Bandyty' i po prostu żyć nie umierać.

Ostatni piknik, czekoladka, herbatka, rzut oka na Górę i złazę drogą biegnącą w las. Akurat leci kawałek 'Time to go home' – Michael Franti and Spearhead, tylko że ja nie chcę wracać! Do samej Jasinii zaszedłem przez Koźmieszczuk i Łazeszczynę. Bilans to jakieś 10 – 11 h wędrówki (głównie w dół).

Po 18 gdy leżę umyty na wyrku zaczyna się niezła burza. Kurna coś nade mną czuwa.

Ps. wkładki Wolfskina jakie sobie sprawiłem na wyjazd to był strzał w 10-tkę. Jutro stwierdzę że po 3 (właściwie 4) dniach wędrówki po górach z plecakiem czuję się jakbym się przeszedł w kapciach z łazienki do pokoju. Jednak dzisiaj gorzej z resztą organizmu. Nie wiem co mnie dopadło ale w nocy miałem piekiełko. W każdym razie po fervexie i całonocnych dreszczach, majakach, wizjach śmierci lub co najmniej ukraińskich szpitali rano czułem się zdrowy.

Dzień 5

O 9 wyszło słońce i zapomniałem że cokolwiek mi dolegało. Pobiegłem (niemal dosłownie) na Bliźnicę (1880) – najwyższą górkę pasma Świdowiec. Na grani woła mnie i podbiega dwójka wesołych chłopaków. Starszy przedstawia się jako Jura i podając mi wielką wypasioną lornetkę proponuje obejrzenie widoków. Bardzo mili ludzie. Z Bliźnicy widoki są niesamowite. Obojętnie w którą stronę patrzysz – wszędzie grzbiety Karpat.

Z bólem serca zbieram się do zejścia. Włączam playera a tu „Walking down the hill” Trávisa. Czasem się dziwię jak te kawałki sympatycznie się zgrywają z otoczeniem. Podróż na dół to już zupełny odjazd. Z wysokości ok. 1200 metrów łapię stopa – wielką radziecką ciężarówkę (chyba Ził) wracającą z placu budowy w okolicy kurortu narciarskiego w Drahobracie na Świdowcu. Jazda stromą drogą z głębokimi koleinami, po wielkich głazach lub mostkami z drewnianych bali ułożonymi nad strumykami to niezły hardcore. Szczególnie podobało mi się jako kierowca zjechać na krawędź skarpy nad sporym strumieniem w celu przepuszczenia ciężarówki jadącej z naprzeciwka. Tą megajazdą zaoszczędziłem z 1,5 h marszu.

Czego się nie udało zrobić w niedzielę, udało się w środę. Jest cudnie ale trzeba wracać. Jutro jadę do Iwano-Frankowska, gdzie jestem umówiony z moim 'bus-teamem'.

Dzień 6

Bardzo ładne miasto. Około 250 tys. mieszkańców, uczelnie wyższe, deptak, studenci. Spotykam się tu z dwójką ludzi, których poznałem w busie w drodze z Polski na Ukrainę i bardzo się zgraliśmy. Dorota (krakowska studentka, która jechała do Iwano-Fr. na praktyki) i Ukrainiec Andriy – przesympatyczny człowiek, który od początku pomaga nam jak może. Od popołudnia do chyba 2 albo 3 w nocy szwędamy się nad rzeką, po mieście, parkach i jeziorkach. Podczas tych spacerów nikt nas w tym czasie nie zaczepia i nie robi nam krzywdy. Wszyscy stwierdzamy to samo – nie znając się właściwie wcale czujemy się jakbyśmy się znali od 15 lat. Na koniec ląduję na karimacie w ukraińskim akademiku. Otrzymuję jeszcze propozycję raftingu w weekend, ale z bólem serca muszę odmówić.

Dzień 7

Na dworcu miła niespodzianka – spotykam grupę turystów z Moskwy, których spotkałem na Pietrosie. Oni zrobili jeszcze Popa Iwana z ruinami polskiego obserwatorium na szczycie. No cóż, ja to przełożyłem na następny raz. Bo co do tego że na

Ukrainę wrócić to nie mam wątpliwości.

O 14 ma podjechać autobus Kołomyja – Przemyśl. O 14:15 dowiaduję się, że autobus z Kołomyji nawet nie wyjechał i wyjechać nie ma zamiaru. Wraz z pewnym małżeństwem (Polscy Niemcy urodzeni na Ukrainie – bardzo mili i interesujący ludzie), dajemy się porwać ukraińskiemu zawodowemu kierowcy, który swoim czerwonym złomkiem łamiąc wszystkie zakazy i korzystając z zasady „światło prawie czerwone” dowozi nas do Przemyśla. Po drodze kilka razy jedziemy na czołówkę. Wyprzedzanie na 3-ciego i totalny chaos na okrutnie dziurawych ulicach to na Ukrainie norma.

Przemyśl – z prawej atakuje mnie zgrzybiały żuł. Z lewej jakiś debil napiernicza w kółko to samo zdanie. Z dołu wychodzą ćpuny a z góry zbiegają łyse dresy. Chowam aparat i mp3 do plecaka. Po raz pierwszy na tej wycieczce naprawdę obawiam się o zdrowie i dobytek. Welcome home.

– END –

Dziku'2016: I na koniec nauczka, którą do dziś pamiętam: jadąc na Ukrainę nie zabiera się słoików z jedzeniem (fasolka po bretońsku, klopsiki, gołąbki...). Za obiad z piwem płaciłem mniej niż za jeden słoik w Polsce. Ale co się ciężarów nadźwigałem i samemu w głowę popukałem to moje.

Islandia – Całkiem sporo niczego

Gdzie – Islandia

Kiedy – wrzesień 2014

Kto – Asia & Paweł & Dzik & Aga

Siedzimy na pniach ściętych drzew, czekając na resztę uczestników wycieczki. Schodzimy z Rudawca do Domu Majów w Bielicach, gdzie nocujemy w ramach zdobywania kolejnych z 28 szczytów Korony Gór Polski wraz z osobami niepełnosprawnymi. Projekt nosi nazwę Razem na szczyty, a my właśnie umawiamy się, żeby pojechać razem na Islandię – Agnieszka, Jarek, Paweł i ja. Najwyższy szczyt wyspy Hvannadalshnúkur 2119 m n.p.m. czeka na dołączenie go do gór z innej Korony – Korony Europy.

Tanie bilety z Londynu do Reykjavíku i z powrotem warunkują termin wycieczki 1-11 września. Udaje się też kupić bilety powrotne z Londynu do Wrocławia, ale z Polski do Anglii nic w tym terminie i na naszą kieszeń na szczęście nie ma, a szukamy aż do ostatnich dni przed wyjazdem. „Na szczęście”, ponieważ przeżylibyśmy o jedną przygodę mniej. Pada bowiem decyzja, że z braku biletów lotniczych wyjeżdżamy z Polski kilka dni przed 1 września i próbujemy dostać się do Londynu Luton na stopa. W tym miejscu powinno dać się kliknąć w „Przygoda Nr 1” i przeczytać zupełnie osobną relację z tych kilku jakże emocjonujących dni autostopowania. Nie da się, więc uchylę tylko rąbka tajemnicy – jechaliśmy parami; pierwsi dotarli Aga z Dzikim, właściwie dzień przed wylotem i relaksowali się w Luton, my natomiast, jak przystało na statystycznych Polaków, dotarliśmy właściwie na ostatnią chwilę. [dopisek Dzik – dla mnie i Agi była to pierwsza autostopowa przygoda i niech za komentarz wystarczy to, że po dotarciu na lotnisko stwierdziliśmy, że moglibyśmy już wracać, tyle było wrażeń. A dlaczego my cały dzień leżeliśmy na lotniskowym trawniku a nasi kompani walczyli o każde 10 km? Otóż jest niezwykle ważne w jaki dzień się podróżuje. Jeżeli traficie na dzień kiedy ciężarówki nie kursują to przestój gwarantowany. Zupełnym przypadkiem nam (żółtodziobom!) się udało. Paweł i Asia wyjechali nieco później i załapali się na pauzę, która kosztowała ich nieco stresu ale cóż to znaczy dziś? Przygoda!]

Z Wrocławia szczęśliwi wyjechaliśmy niemal natychmiast – zabrał nas bus z czterema wesołymi nurkami, w Niemczech ugościł kuzyn, a Francja zatrzymała na ponad dobę (!). Gdy tam właśnie, zaledwie 2,5 h jazdy od kanału La Manche, na pokonanie którego jeszcze nie mieliśmy pomysłu, kolejna godzina parkingowego błagania na klęczkach, leżąc i w pokłonach utwierdzała nas tylko w przekonaniu, że choć wszyscy jadą dokładnie w naszym kierunku, to nie mają miejsca w autach nawet na wciśnięcie szpilki, myśleliśmy, że jak już jakimś cudem nadjedzie puste auto gotowe zabrać nas i nasze dwa duże plecaki, to dalej będzie tylko łatwiej. Dobrze, że człowiek to istota wierząca, bo chociaż nic na to nie wskazywało, to właśnie ufność w dotarcie do Luton na czas nie pozwoliła nam poddać się przychodzącym do głowy pomysłom, że już jest na tyle późno, że może lepiej zmienić wakacyjne plany na Paryż albo Zamki nad Loarą... . Dotarliśmy do Calais (bardzo) kombinowanymi środkami transportu, a na miejscu spacerkiem ok 10 km dotarliśmy do terminali odpraw aut osobowych, gdzie przeganiani jak emigranci nie mieliśmy szans na „stopa”. Błądząc, znaleźliśmy terminal odpraw aut ciężarowych, gdzie od razu wzbudziliśmy zainteresowanie strażników i celników jako piechurzy przemykający wśród tirów. Była niedziela ok 20:00 (wylot z Luton nad ranem w poniedziałek), kolorowy zachód słońca, a my byliśmy ciągle we Francji i do tego na celowniku kilku mężczyzn z psami pokazujących nas sobie nawzajem palcami. Z tego etapu wycieczki nie mamy zdjęć, ale pozostał wyraźny zapis przygody w pamięci □ Przed 22:00 przeprowadziliśmy się już przez Kanał La Manche z dwoma Polakami, którzy właściwie zajechali nam drogę na parkingu, a my ubłagaliśmy ich, żeby nas zabrali. Potem jeszcze jeden Polak, który „przypadkiem” jechał trasą 4 km od lotniska w Luton (w życiu nie ma przypadków) i lekko po północy witaliśmy się z Dzikami na lotnisku. Toaleta, krótka drzemka i pobudka o 5:00, żeby się przepakować i zdążyć odprawić na samolot. Gdybyśmy po tych trudach dotarcia zaspali na samym lotnisku.... □

Reykjavik przywitał nas wiatrem, który był zapowiedzią

islandzkiej wrześniowej pogody. Na lotnisku czekał Adam, którego, nawet gdyby nie trzymał kartki z nazwiskiem Pawła, poznalibyśmy, że to „swój” – wyszedł po nas prosto jak stał z warsztatu samochodowego. Osobom przesądnym nasze wypożyczone auto (pozdrawiamy chłopaków z polskiej wypożyczalni aut) od początku dawałoby znaki swojej awaryjności, ale na nas opadająca szyba pasażera nie zrobiła wrażenia na długo. Uwagę przykuł wyjątkowy, niespotykany dotąd wulkaniczny krajobraz, który zmieniał się co kilkadziesiąt kilometrów. Piękne wodospady, pola czarnych piasków wulkanicznych (całkiem sporo było tego niczego), grube poduchy mchów, a w końcu potężne lodowce i góry. I gorące wody!, które znaleźliśmy już pierwszego dnia wieczorem podczas spaceru, a już o poranku dnia drugiego widziały nas w strojach kąpielowych. Tam też, w mini gejzerkach, ugotowaliśmy jajka i ziemniaki na śniadanie hehe. Dzień, wybrany przez nas na zdobycie Hvanna, nie był trafiony pod względem pogody. Najwyższy szczyt na lodowcu zdobyliśmy poznając zjawisko white-out'u, a naprawdę zobaczyliśmy go dopiero nazajutrz z daleka, już w pięknym słońcu.

Co jeszcze na nas czekało? Acha, foki na lodowej lagunie, owce, duuużo owiec (nazwanych przez Pawła swetrami), wschody słońca nad oceanem, tęcze, wodospady, wodospady i jeszcze raz gorące źródła. No i jeszcze codzienna gimnastyka poranna, bramy na drogach pośrodku interioru, szutrowy odcinek autostrady, na którym zrobiliśmy sobie piknik, bo nic nią nie jechało, gejzery, gorące błoto pod nogami, kratery wulkaniczne, niebieski hydrant i znaki drogowe pośrodku niczego. Hagrid – przygoda, ale bez szczegółów hehe i cudowne wspomnienie nocnych zjawisk nad wodospadem Godafoss – jednoczesny widok łuny z wulkanu Bardarbunga, zorzy polarnej i spadających gwiazd, w szumie wodospadu i ze wspaniałym towarzystwem obok. Wieloryba z ryżem na kuchence benzynowej w namiocie nie wspomnę tak samo jak islandzkich odcinków kulinarnych „Gotuj z Kudłaczem”. To wszystko w interiorze – centrum wyspy, które pokonać można jedynie sprawnym samochodem

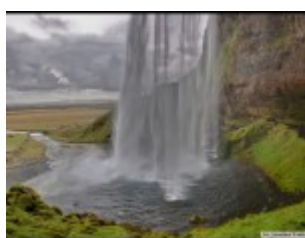
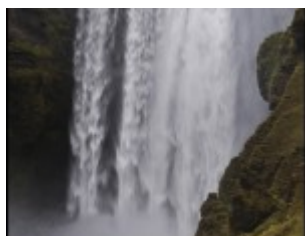
terenowym z napędem na cztery koła. No właśnie, sprawnym, reszta się zgadzała. A co jak jest niesprawny? Sytuacja jest wtedy nieco inna niż w pozostałych krajach europejskich. Tu nie wystarczy wyjść z auta, poczekać chwilę i machnąć ręką na pierwszy nadjeżdżający samochód, żeby poprosić o pomoc. Chociaż, czemu nie, wyjść można, ale czas oczekiwania wydłuża się z chwil do godzin niezależnie od częstotliwości machania ręką. Co więc robić? Dobra książka, jedzonko co dwie godziny (to jest plus sytuacji, można zachować regularność posiłków, ważne dla Agi hehe), drzemka, rozmowy, rozmowy, żarty. W osiem godzin od zgłoszenia ma szansę dotrzeć na pomoc ekipa Polaków z wypożyczalni aut (osiem, jak jesteście „blisko”). Hołowanie do pierwszej stacji benzynowej w dobrych humorach i ze śpiewem na ustach (Kubuś Puchatek i jego „Kilku kumpli” – oby nagrania z hołowania nie dostały się w niepowołane ręce!) i już można iść spać. Rano, po śniadaniu, zmiana aut – z bordowego na niebieskie – (porządna wypożyczalnia) i kolorowe góry z gorrrącą rzeką są w zasięgu stroju kąpielowego!!! Landmannalaugar na kilka godzin spaceru i gorącej kąpieli był nasz. Potem jeszcze raz wodospady, gejzery, owce, ostatni nocleg i powrót do domu już bez spektakularnych przygód. Wszystko było nam dane zobaczyć, oprócz maskonurów, więc trzeba kiedyś wrócić na wyspę, ale w sierpniu. A wisienką na torcie najlepszej wycieczki w moim życiu był pewien biznesmen w metalicznym garniturze i ciemnych okularach, który czekał na lotnisku we Wrocławiu na ekipę ICELAND EXPEDITION, co wyświetlał na ekranie laptopa hehe.

Islandia jest miejscem na Ziemi, do którego będę ciągle wracać, a właściwie mogłabym z niego nie wracać, natomiast najlepszą wycieczkę mojego życia zawdzięczam ludziom, bo to oni byli tam najważniejsi (nie musiałam przecież wcale lecieć na wyspę drugi rok z rzędu hehe). Tam jest przecież całkiem sporo niczego.

tekst: **Asia Ciołek**

[dopisek Dzika: dziękuję Asi za ten opis i że mogłem przeżyć

to raz jeszcze. Uświadomiło mi to, że chcąc opisać wszystkie ciekawe, niezwykle wręcz wydarzenia i wrażenia ta relacja zajęłaby 10x więcej miejsca. Ale zamiast się rozpisywać zachęcam do udania się tam i przeżycia tego samego. Jak coś to Asia z chęcią pomoże! ☐]











Islandia

Gdzie – Islandia

Kiedy – wrzesień 2014

Kto – Asia & Paweł & Dzik & Aga



Przygoda zaczęła się już na samym początku. Bajtek podrzuca nas z Malerzowa na stację benzynową na Bielanach Wrocławskich, skąd mamy zamiar przetransportować się na lotnisko za Londynem. Tak – Londynem – nie Łądkiem. Nie mamy pewności co napisać na kartonie. Goerlitz? Berlin? Dresden? Londyn? Luton? Wychodzi brak doświadczenia. Dla nas obojga, tzn. dla mnie i Agi jest to pierwsza podróż autostopem. Na stare lata nam przyszło...

I co? I przez parę godzin nie zatrzymaliśmy nikogo! Mieliśmy szczęście, że za plecami zatrzymał się tir, a kierowca widząc nas sam do nas podszedł. Wyraźnie szukał towarzystwa. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni. My wysłuchaliśmy naszych pierwszych historii z życia tirowców, szczęki opadały nam coraz niżej i w takim klimacie dojechaliśmy do granicy z Niemcami. Ponieważ był już wieczór kierowca zaproponował, byśmy spali z nim w kabinie. Przygoda! Spanie na górnej pryczy można porównać do spania we dwójkę w hamaku, ale i tak się wypaliśmy. Może to przez te wspólnie wypite piwka?





Rano na granicy znów szukaliśmy okazji. Dostyć szybko dotarliśmy w okolice Berlina. Tu na stacji krótki skecz: widzę dwóch facetów rozmawiających po niemiecku. No to zagaduję ich w ich języku ale kiwają głowami, że „nic z tego”. Zaledwie parę minut później biegnie Aga. Znalazła transport. Patrzę – Ci sami faceci, ale po polsku już gadają. No i mówię, że przecie przed chwilą ich pytałem i odmówili. A oni na to, że myśleli, że ja Niemiec. A Niemca by nie podwieźli.

Tymi sposobami szybko znaleźliśmy się w okolicy Dortmundu. Tam, po pewnym nieporozumieniu lądujemy na parkingu zwykłym. Z WC wprawdzie, ale bez stacji benzynowej. Niemiec, który nas tu wysadził przeproszał nas, że coś mu się pomieszało i ma nadzieję, że ktoś nas stąd zabierze. Otóż lepiej nie mogliśmy trafić. Jak wysiadłem z jego samochodu tak się przesiadłem do busa z Polski. Jego kierowca to była pierwsza osoba, którą Aga zapytała dokąd jedzie. A ten – że do Calais. Rewelacja. Wieczorem jesteśmy na parkingu dla kierowców. To stąd zaczyna się przeprawa tunelem do Wielkiej Brytanii. Kolejny wieczór w podróży i kolejna impreza. Chłopaki przynoszą kartony piwa – nie liczy się jakość, liczy się MOC! Tej nocy śpimy na pace busa, wraz z towarem. Rano prysznic i w dalszą drogę. Tym razem łapiemy stopa przy wjeździe na punkt kontrolny przed kanałem La Manche. Zatrzymuje się przesympatyczny kierowca. Nie tylko przeprowadza nas na Wyspę ale jeszcze organizuje McDonaldsową ucztę. Nie jesteśmy fanami tego jedzenia ale w takich warunkach? Jedząc ze Szwedzkiego Stołu na podeście kabiny nowiutkiego tira Volvo? Jesteśmy pod wrażeniem jak wszystko gładko nam idzie.

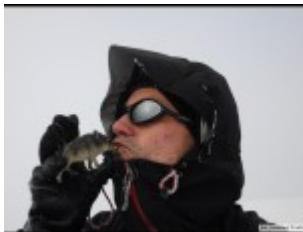
Popołudniu wysiadamy kilka km od lotniska Luton. Mamy wciąż

spory zapas czasu do odlotu samolotu do Islandii. Wchodzimy w najprawdziwsze pole i w krzakach pod płotem rozkładamy namiot. Wieczorem niepokoją nas jeszcze dziwne odgłosy. Okazuje się, że za płotem jest pole golfowe. Jeszcze kilka uderzeń, ostatnie odgłosy i zapada cisza. Idziemy spać.

Rano robię fatalny ruch. Nierozgrzany, nierozciągnięty postanawiam przesunąć plecak w przedsionku namiotu. Coś mi strzela w plecach i leżę bez ruchu. Jedynie jęcząc. W głowie mam wizję: Aga leci do Islandii a ja kilka dni leżę w angielskim szpitalu. Jednak z czasem – z pomocą przyśpieszonej rehabilitacji – zdołam się podnieść. Z bólem dźwigam plecak i ruszamy na ostatni odcinek naszej przygody. Jak to ostatni?! Przecież jeszcze nawet nie dolecieliśmy do Islandii! A jednak tak to wspominam – jako prawdziwą przygodę. Ta podróż, ci ludzie – to przygoda przez duże „P”. Gdy po paru godzinach wchodzimy (tak, wchodzimy, bo szliśmy dwupasmówką, przez ronda, skrzyżowania, światła) na lotnisko to wiemy, że kończy się pewien etap. A zaczyna inny, dzięki naszym przyjaciom również emocjonujący. Ponieważ Paweł i Asia wyjechali dobę później, do końca nie było wiadomo czy zdążą na samolot. Co jeśli nie? Bałem się o tym myśleć. Na szczęście zjawiają się w nocy, uff!

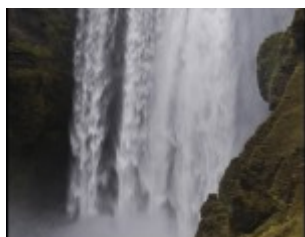
A Islandia?





Islandia to obrazy. Piękne, unikatowe. Jednak ja się skupię na najważniejszym dla mnie celu: najwyższym szczycie tego państwa. Cel został zdobyty, lecz w stylu odbiegającym od tego, który bym sobie wymarzył. Prognozy pogody nie sprawdziły się zupełnie i zamiast tzw. „clear” mieliśmy totalną mgłę. W ten sposób podążaliśmy w całkowitej pustce, z głową wbity w GPS z mapą i zapisaną ścieżką. Tylko dzięki temu elektronicznemu urządzeniu udało nam się osiągnąć wierzchołek. Cel odhaczony. Kolejny szczyt – perełka – do korony. Jednak bez wątpienia z poczuciem niedosytu. Czy kiedyś tam wrócę? Pewnie nie. Pozostanie tak jak jest. Zdobyty szczyt, mimo fatalnych warunków. Bez praktycznie żadnych widoków czy też nowych doświadczeń. No chyba, że mówimy o jedzeniu gotowanych jajek siedząc na czekanach wbitych w lodowiec. To było coś nowego!

tekst: **Dziku**













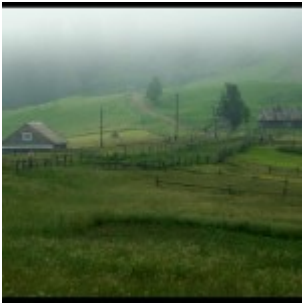
Gerlach – Ostatnie starcie

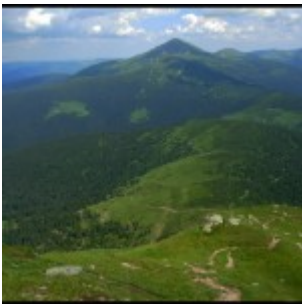
Cel – Gerlach (2654 m n.p.m.)

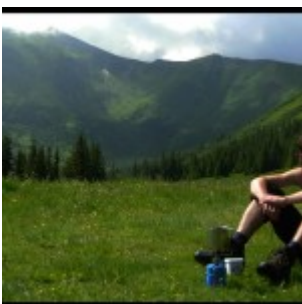
Kiedy – styczeń 2014

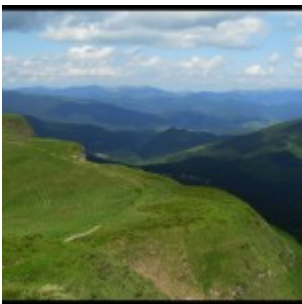
Kto – Dziku & Tomek & Paweł & Ola & Aga & Dawid

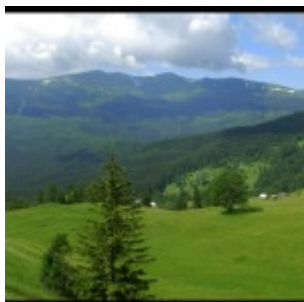
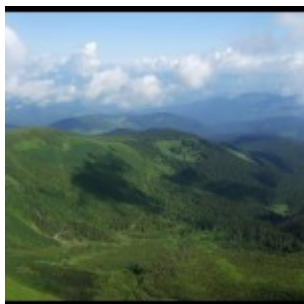












W grudniu 2008 spróbowałem po raz pierwszy. W styczniu 2010 po raz kolejny. W styczniu 2012 nastąpiła trzecia nieudana próba. Jeszcze tej samej samej zimy, zaledwie tydzień po powrocie z Mont Blanc, jeszcze nie odzyskawszy czucia w odmrożonych palcach spróbowałem po raz czwarty. I za tym czwartym razem udało mi się stanąć na szczycie.

W styczniu 2014 ponownie znalazłem się pod Gerlachem. Bo choć sobie obiecałem, że tam nie wrócę, to Adze obiecałem coś innego. Po kilku godzinach jazdy znaleźliśmy się na Słowacji. Rano wyszliśmy z miasta i po paru godzinach znaleźliśmy się nad Batyżowieckim Stawem. Z powodu pięknej pogody postanowiliśmy pójść za ciosem i przed godziną 12-tą zrzuciliśmy plecaki i ruszyliśmy stromym podejściem w kierunku

Batyżowieckiego Żlebu. Załedwie półtorej godziny później pierwsza osoba z naszej ekipy stanęła na wierzchołku.

Była to Aga, a gdy stanęła na szczycie to ja znajdowałem się tuż pod nim. I wtedy zawróciłem. Zeszliśmy razem do podnóża góry. 3 razy szczyt się do mnie odwracał plecami. Tym razem to ja się odwróciłem od niego pierwszy. Bez satysfakcji. Nie żywię specjalnych uczuć do miejsc obwarowanych przepisami, zakazami i ludźmi, którzy tych wszystkich ograniczeń pilnują.

Gratulacje dla Agi, Tomka, Dawida, Pawła i Oli. Bo akcję zrobiliśmy zaiste partyzancką. Jak nazwał to jeden z wielu mijanych przewodników: był to styl „Z pogardą dla sprzętu”. A my cały sprzęt mieliśmy... na dole pod kamieniem.

Również co do pory wyjścia – wyszliśmy o takiej godzinie, o jakiej przewodnicy wracają. I w tym temacie również nie uniknęliśmy z ich strony komentarzy. Nie wzięli oni jednak pod uwagę, że my nie ciągniemy za sobą klientów i wchodzimy i schodzimy ze szczytu w czasie, który im jest potrzebny by pokonać jeden żleb. I to bez znaczenia czy w górę czy w dół.

Dziku

„W tłumie hord powracających odznaczała się malowniczym uniformem i dzielną postawą Straż Górska pędząca gromady jeńców złapanych na zbrodni obrazy majestatu gór. Szli zwarci w czworobok strzelców młodzieńcy, panny i płaczące dzieci. Bardziej podejrzani szli prowadzeni na arkanach, z skrępowanymi w tył rękami. Najboleśniej postrzeleni jęczeli z tyłu, trzęsąc się na zarekwirowanych furkach.” – Andrzej Strug

Zimowe wejście na Mont Blanc

Cel – Mont Blanc (4810 m n.p.m.) – zdobyty (2:1 dla nas)

Kiedy – luty 2012

Kto – Dziku & Paweł & Aga



The Alpinists presents...

„Ludzie, którzy tracą czas czekając, aż zaistnieją najbardziej sprzyjające warunki, nigdy nic nie dziają. Najlepszy czas na działanie jest teraz!”

Mark Fisher

Wybór celu na nasz pierwszy zimowy wypad w Alpy trudny nie był. Miało być wysoko, miało być zimno, miało być ciężko i miała być zabawa. Gdzie tego szukać jeśli nie na Mont Blanc? Góra oferowała pewne poczucie bezpieczeństwa, ponieważ obaj z Pawłem zdążyliśmy ją już wcześniej poznać. Aga nie miała jeszcze okazji być na szczycie, więc tym bardziej motywacji jej nie brakowało.

Start nie był łatwy. Chociaż z Polski wyjeżdżamy w sobotę rano to do Les Houches docieramy dopiero w niedzielę przed południem. Zaczęło się od popsutej ładowarki do nawigacji. Już w trasie montowaliśmy z 3 ładowarek jedną działającą. Potem

pękł kabel od spryskiwaczy, ale Paweł z pomocą scyzoryka usterkę naprawił. Scyzoryk wkrótce przepadł ponieważ został na dachu i spadł w trasie. Zaraz potem Paweł uświadomił sobie, że zabrał ze sobą klucze od remizy strażackiej. Ale co tam, i tak szczytem było wjechanie w XIV wieczny, kamienny krzyż pokutny. Na szczęście ksiądz był wyrozumiały i klątwy na nas nie rzucił. Obiecaliśmy, że krzyż zostanie naprawiony po powrocie i ze stłuczoną lampą i poobijaną klapą ruszyliśmy w trasę o długości ponad 1200 km. Do Chamonix!

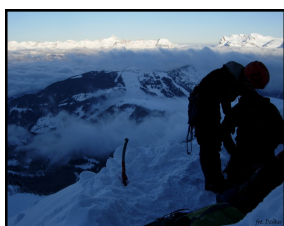
Startujemy o 12-tej wraz z narciarzami ze stacji kolejki w Les Houches koło Chamonix. Pracowniczka stacji patrzy na nasze plecaki z przerażeniem i gestykuluje „MONT BLANC – NO! NO IN WINTER! TWO PEOPLE DIED!”. Odpowiadamy jedynie pogodną miną. Wiemy o Rosjanach, którzy zginęli próbując przebyć tę trasę przed 1,5 miesiąca. Mamy też informacje od miejscowych służb, że przed nami nikt jeszcze tej zimy zaplanowanej przez nas trasy nie przeszedł. Mimo tych informacji czujemy się na siłach, by podjąć się wyzwania. 20 minut później ruszamy pieszo z górnej stacji kolejki (1790 m). Od tego momentu przez kilka godzin trawersujemy w głębokim śniegu stromy stok. Wokół nas gęsta mgła. Gdzieś pod nami pod śniegiem prowadzą tory kolejki zębatej. We mgle mijamy słupy trakcji, będące jedynym punktem orientacyjnym. Nie mamy jednak wątpliwości co do jednego – po naszej prawej stronie ziele pustka. Obsunięcie się ze śniegiem skutkuje zatrzymaniem się setki metrów niżej. Latem jechalibyśmy tędy wygodnie i oglądalibyśmy widoki przez szybę pociągu. Teraz śniegu jest tak dużo, że możemy trzymać ręką kabel trakcji. A czasem nawet i on ginie pod śniegiem. Co jakiś czas zakładamy dźwigane przez nas rakiety śnieżne. Jednak trawers jest tak stromy, że rakiety wykręcają nam kostki i zdecydowanie większą część drogi niesiemy je na plecach.



trawers



Aga poręcza



Platforma pod namiot

Dla tych co znajdują się tam w podobnych warunkach i równie słabej widoczności – słupy trakcji są ponumerowane. Im wyżej tym numer wyższy. Przy słupie nr 447 znajdują budynki pośredniej stacji kolejki (2077 m), zaś w pobliżu słupa 496 należy się spodziewać wejścia do tunelu. My tego nie wiedzieliśmy i...

Kiedy zaczął zapadać zmrok dotarliśmy do najtrudniejszego terenu. Z prawej strony 700 metrowa przepaść. Z lewej pionowe skały. Wykopujemy łopatą platformę i rozkładamy na niej namiot. Aga w tym czasie robi jeszcze zwiad i poręcza odcinek, który czeka nas jutro. Po 40 metrach dochodzi do skał i zapada się obiema nogami w głęboki śnieg. Wiemy, że gdzieś tu jest gwarantujący bezpieczne przejście tunel ale nie wiemy dokładnie gdzie. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że Aga kiedy się zapadła była już obiema nogami w tunelu kolejki! Ale póki co – warto napomknąć o tej nocy spędzonej na krawędzi przepaści. Ciekawym doświadczeniem było np. robienie kupki na wąskiej wydeptanej przez nas ścieżce. Wystarczyło potem lekkie jej trącenie i leciała ona gdzieś daleko w ciemność.

Rano kontynuując nasze samobójcze zapędy i będąc nieświadomi bliskości wejścia do tunelu decydujemy się go ominąć jego zewnętrzną ścianą. Teraz widzę to tak, że od 2-giej strony tunelu dzieliły nas 2 godziny strachu. Aga prowadząc zakładała przeloty, lecz skała i teren był tak nieprzyjazny, że asekuracja była bardzo niepewna. My dźwigaliśmy na plecach olbrzymie plecaki, z których dodatkowo sterczały przeklinane przez nas rakiety. Obsunięcie się któregoś z nas mogłoby być tragiczne dla wszystkich. Udaje się nam jednak dotrzeć do wylotu tunelu. W parę minut przechodzimy nim z powrotem i widzimy skąpe światło. To pewnie jest ten otwór, który wczoraj zrobiła nogami Aga. Dlaczego nie zdecydowaliśmy się pokopać w tym miejscu i odszukać wejścia?! Teraz już za późno na dywagacje, przynajmniej wiemy, że wrócimy przez bezpieczny tunel a nie tą zewnętrzną ścianą dla samobójców.



trawers tunelu



trawers tunelu



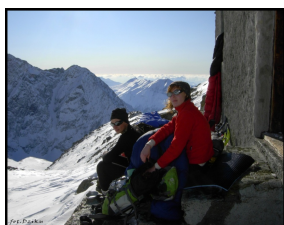
trasa poza tunelem z zaznaczonym czerwoną kropką miejscem z platformą pod namiot

Pójdźmy jednak dalej, przed nami kolejny – tym razem całkowicie zasypany tunel. Omijamy go trasą biegnącą przez żleb, skałki oraz stalowe schodki i stajemy na stacji Le Nid

D'Aigle (2372 m). Tutaj biwak z jedzonkiem na ciepło i idziemy do schronu Forestiere (2768 m). Rozpatrujemy spędzenie w nim nocy. Jednak pewien fakt nie daje nam spokoju i nieco psuje humory. Okazuje się, że nie zabraliśmy jednego kartusza z gazem. Ilość paliwa, które mamy ze sobą nie przekreśla szans na zdobycie szczytu jednak powoduje pewną presję czasu. Pakujemy rzeczy z powrotem do plecaków i idziemy dalej – do Tete Rousse (3167 m). Dochodzimy do nieczynnego o tej porze roku schroniska już w zupełnych ciemnościach. W środku jest bardzo zimno, przypuszczam, że mniej niż -10 stopni. Topienie śniegu zajmuje dużo czasu, ale wreszcie udaje nam się czegoś napić i coś zjeść i padamy wymęczeni na łóżka.



biwak przy Le Nid D'Aigle



biwak przy Forestiere



w drodze do Tete Rousse

Wstajemy jeszcze o zmroku. Znów parogodzinna operacja topienia śniegu, zalewania termosów i ruszamy dalej. Jest łatwiej – bo dzień wcześniej zostawiliśmy nadmiar jedzenia, namiot oraz rakiety w Forestiere. Jednak w tym wszechogarniającym mrozie nasze organizmy szybciej słabną. Po 4 godzinach wspinaczki w zacienionym kułuarze wychodzimy przy starym schronisku Gouter (3817 m). Okazuje się, że mam odmrożone wszystkie palce u

stóp. Przez następne pół godziny rozcieramy mi stopy. 10 białych, twardych i nieczułych na dotyk paliczków powoli wraca do życia. Jednak krążenie wróci do nich dopiero po 2 dniach. A czucie w pełni odzyskam dopiero po paru tygodniach. Na dodatek wejście do zimowego schronu jest zasypane i nie jesteśmy w stanie się do niego dostać. Na szczęście jest piękna, bezwietrzna pogoda. Mimo mrozu siedzimy na karimatach, gotujemy a nawet... zapadamy w drzemkę. Po przebudzeniu postanawiamy iść dalej. Przed nami kilka godzin światła dziennego więc powinno się udać dotrzeć do schronu Vallot. Schron ten znajduje się na wysokości 4362 m więc szczyt byłby już w zasięgu ręki.

Chyba nie spodziewaliśmy się, jak wielka różnica jest pomiędzy zdobywaniem Mont Blanc latem i zimą. Przez następne godziny szukamy drogi między odsłoniętymi szczelinami na lodowcu. Gdy zbliżamy się do szczytu Dome du Gouter (4304 m) nadlatuje helikopter, zatrzymuje się nad nami i widzimy wycelowane w nas obiektywy aparatów. Dociera do nas, że jesteśmy tu zupełnie sami. Latem ciągnie tędy sznur turystów marzących o zdobyciu najwyższego szczytu Europy ale dziś, czyli 21-go lutego 2012 roku jesteśmy tu tylko my.

Wchodząc na kopułę Dome du Gouter jesteśmy już mocno zmęczeni. Zaczyna się ściemniać, robi się bardzo zimno i na dodatek zrywa się mocny wiatr. Zakładamy puchowe kurtki, ale organizm jest już tak wychłodzony, że zmęczenie jest spotęgowane. Kiedy naszym oczom ukazuje się malutki punkcik jakim jest schron Vallot, sytuacja pogarsza się jeszcze bardziej. Aga wydaje z siebie jęk rozpacz. Najchętniej w tym momencie położylibyśmy się spać w ciepłych śpiworach. Tymczasem czeka nas jeszcze zejście niżej a potem strome podejście do Vallota. Nie ma wyboru, osłaniamy się od wiatru jak tylko się da i krok po kroku posuwamy się do przodu. Gdy dotarliśmy do stromego stoku, prowadzącego do schronu naszym oczom ukazała się kolejna trudność. Stok jest teraz pokryty twardym lodem. Jakże różni się ta trasa od tej, którą pokonuje się latem! Próbuje

ugryźć pierwsze kilkanaście metrów i okazuje się, że posuwam się szybko do góry lecz tylko na koniuszkach raków. Mam wrażenie, że zęby wbijają się na głębokość zaledwie 1-2 mm. Sygnalizuję Adze by obeszła ten teren i poszukała bardziej przyjaznego zbocza. Sam już nie mam ochoty schodzić, tym bardziej, że czuję przypływ sił i zasuwam jak automat do góry po lodzie do samego schronu. Paweł przyjmuje tę samą taktykę, Aga zaś znajduje nieco pewniejszy szlak i wkrótce całą trójką wtaczamy się do metalowego, lodowato-zimnego schronu. Rozkładamy karimaty, rzucamy się do śpiworów i trzęsiemy się jak galarety. Jedynie Paweł jakby nie odczuł tego chłodu tak silnie.



biwak przy Gouterze



w drodze do Vallota



S.O.S. czyli Paweł uczy się z notatek w schronie Vallot

Atak szczytowy następnego dnia przebiegł nadzwyczaj sprawnie. Właściwie przy trudach z poprzednich dni był czymś niemal przyjemnym. Pozwalał sobie tak napisać, choć na szczyt nie dotarłem. Wyruszyliśmy wspólnie rankiem, jednak nie dawały mi spokoju moje odmrożone palce. Na jednym z przedwierzchołków zdecydowałem się zawrócić, by nie narażać się dłużej na mróz na tej wysokości. Wróciłem do Vallota i położyłem się spać

gdyż założyłem, że czeka mnie parogodzinne oczekiwanie na przyjaciół. Jakże zdziwiłem się, gdy niedługo po mnie pojawiła się Aga oświadczając: „Dziku, zdobyłam Mont Blanc”! Niedługo potem pojawił się Paweł, tłumacząc opóźnienie tym, że musiał wykonać parę telefonów ze szczytu. Od momentu, w którym zdecydowałem się zawrócić, moi przyjaciele w błyskawicznym czasie zdobyli szczyt. Latem ten końcowy odcinek to ciągłe „mijanki” i spowolnione przez inne grupy tempo. Zimą tego problemu nie ma ale i tak jestem pełen podziwu dla szybkości moich partnerów. Kiedy Aga i Paweł znaleźli się na ostatnich metrach przed szczytem, przyleciał kolejny helikopter i również tym razem widoczne były wycelowane w nich obiektywy. Szkoda, że nie mamy dostępu do tych zdjęć. To dopiero byłaby pamiątka.



atak szczytowy



Aga na szczycie



Paweł z flagą Olimpu na szczycie

Resztę dnia oraz noc spędziliśmy w Valloocie. Temperatura w nocy w metalowym schronie spadła do ok. -20 stopni ale czy ma to jeszcze znaczenie? Mont Blanc zdobyty i to zimą! Rano z poczuciem spełnionego obowiązku spakowani ruszyliśmy w dół. Zanim dotarliśmy do schroniska Gouter pobłędziliśmy między

szczelinami. Czekaliśmy z tego powodu kilka nieplanowanych podejść by odnaleźć właściwą drogę. W końcu jednak docieramy do schronu i okazuje się, że ktoś w tych dniach oczyścił wejście. Zgadujemy, że musiał tu wczoraj wylądować helikopter i ktoś się napracował, by schron był dostępny. Czyli francuskie służby ratownicze biorą pod uwagę, że jednak ktoś się tu zimą kręci i starają się eliminować nieprzyjemne niespodzianki, typu niedostępny schron zimowy. My jednak schodzimy niżej, przez kuluar do Tete Rousse, i dalej do schronu Forestiere. Gaz mamy już na wykończeniu. Stosujemy metodę, że na śnieg w menażce kładziemy torebkę owocowej herbaty i pijemy to gdy tylko zrobi się z tego letnia, zabarwiona i aromatyzowana woda. Jedzenia nam jednak nie brakuje. Paweł ma jeszcze mnóstwo kiełbasy i sera. Żartujemy, że jak zwykle zaopatrzyliśmy się w suchy prowiant jak na 2 tygodnie wędrówki przez Antarktydę. Tego dnia mamy jeszcze dużo czasu. Na dół nam się nie śpieszy bo wiemy, że wrócimy tunelem. W ten sposób pójdzie szybciej i bezpieczniej. Wychodzimy więc na grań nad Forestiere i podziwiamy widoki. Do głowy przychodzą różne – raczej niezbyt pożyteczne zajęcia. Skaczemy z nawisów śnieżnych, a nawet pada pomysł spędzenia nocy w jamie śnieżnej. Paweł wykopuje sporych rozmiarów jamę, wchodzi do niej, wyciąga notatki i zaczyna się uczyć do egzaminu na Przewodnika Sudeckiego. Wcześniej uczył się również w namiocie nad przepaścią, w schronie Vallot oraz w baraku Forestiere. Czy znacie lepsze miejsca do nauki?



w zejściu Paweł biegnie za zdmuchniętą puchową łapawicą



brrr – zimno



nowe schronisko Gouter

24-go lutego schodzimy do stacji kolejki, przechodzimy tunel, przekopujemy się na drugą stronę i przy wylocie poręczujemy z pomocą słupów najbardziej niebezpieczny odcinek. Wychodzimy na zasypane torowisko, mijamy platformę, na której parę dni temu spędziliśmy noc i podążamy do doliny. Po drodze mijamy miejsca, w których zeszły ostatnio lawiny. Gdzieś tam śnieg obsunął się całkowicie, odsłaniając trawę. Nam udaje się jednak bezpiecznie dotrzeć do cywilizacji. Jest piękna słoneczna pogoda kiedy docieramy do górnej stacji kolejki. W pierwszej kolejności korzystamy z toalety. Oj, jak człowiek mało docenia to, że może w domu usiąść sobie na ciepłej desce. My teraz takie rzeczy doceniamy. Po powrocie do domów cieszymy się tym, że nie musimy topić śniegu tylko włączamy czajnik elektryczny oraz tym, że nie musimy spać z ubraniami i butami w śpiworze bo nie zamarzną nam do rana.

I po to są te wyjazdy. Człowiek bardziej kocha życie.

– END –

Dziku



Paweł w jamie

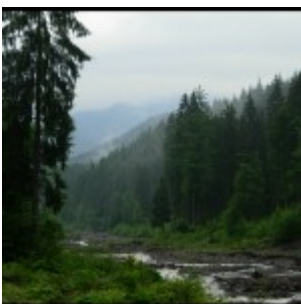


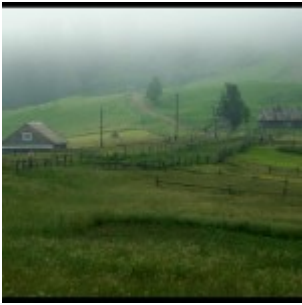
pyszna herbatka!



przebijanie się przez tunel

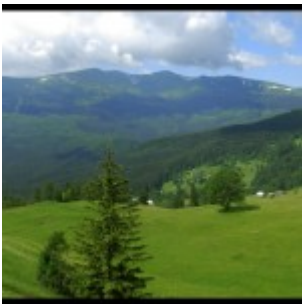
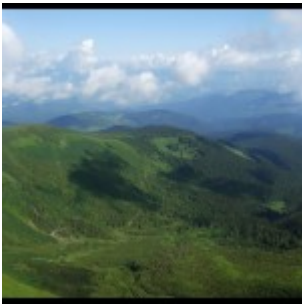
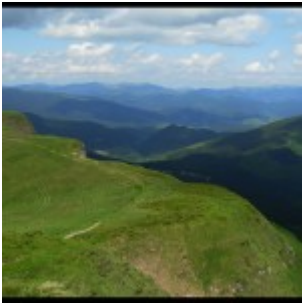
Galeria













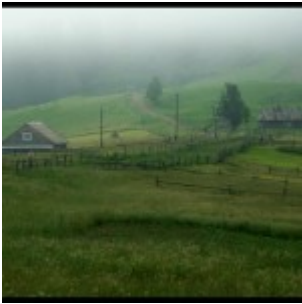
Hiszpania – podejście drugie

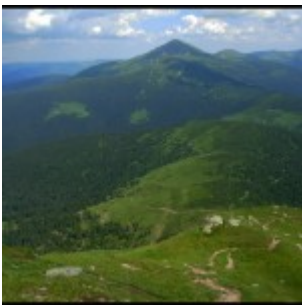
Cel – Mulhacén (3479 m n.p.m.)- zdobyty

Kiedy – wrzesień 2011

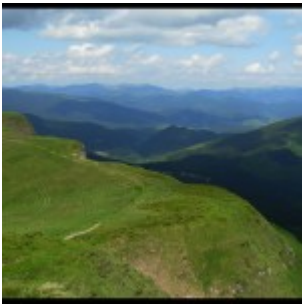
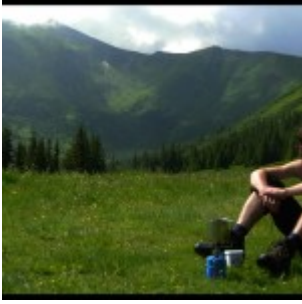
Kto – Dziku & Aneta

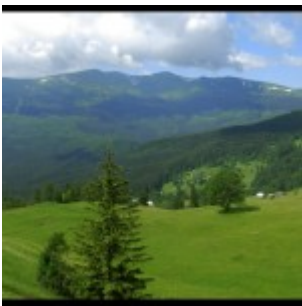
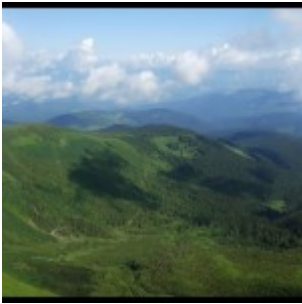










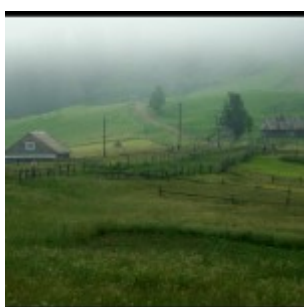
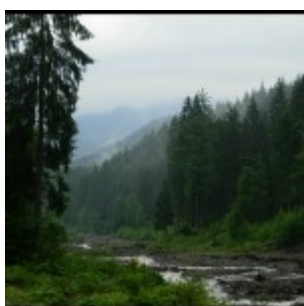


Słowacja – Gerlach

Cel – Gerlach (2654 m n.p.m.)- zdobyty

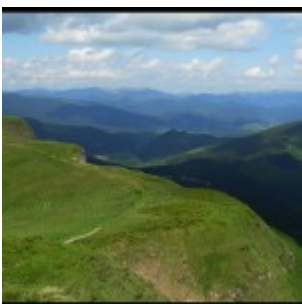
Kiedy – marzec 2012

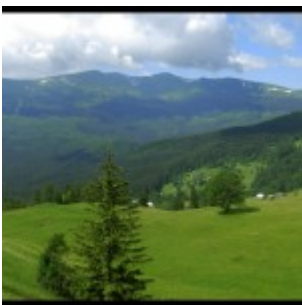
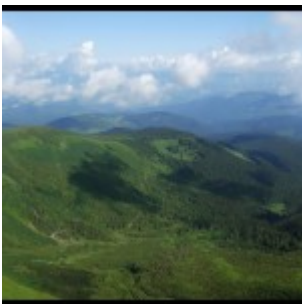
Kto – Dzik & Tomek & Paweł & Iza & Adam











Góry Skandynawskie – Norwegia

Pasmo: Góry Skandynawskie

Państwa: Norwegia

Najwyższy szczyt: Galhopiggen

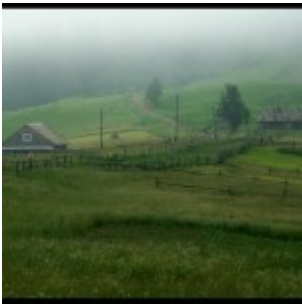
Wysokość: 2469 m. n.p.m.

Miejscowość: Lom – Spiterstulen

Szacowany czas: 1 dzień

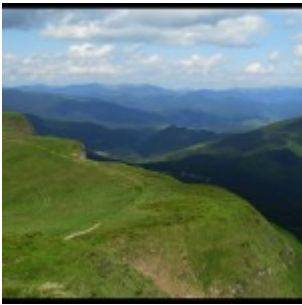


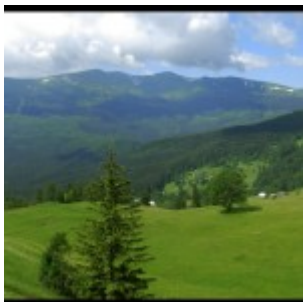
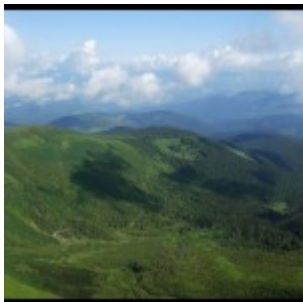
Galeria











Relacja

Cel – Galhopiggen (2469 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – kwiecień 2009

Kto – Dziku & Marcin & Ala & Aga & Ewa & Marek & Dagmara &

– 27 IV –

Nareszcie upragniony dzień wyjazdu. Spotykamy się całą 8-osobową ekipą na Bielanach Wrocławskich. Co niektórzy dopiero się poznają ponieważ widzą się po raz pierwszy. Dzielimy się na dwie załogi: pierwsza to Ala, Marcin, Marek i Dzik. Drugą załogę tworzą Dagmara, Ewa, Aga i Łukasz. Ruszamy w drogę.

– 28 IV –

Na trasie najpierw Niemcy, potem Dania, a następnie tuż nad ranem przejeżdżamy mostem do Szwecji. Kilka słów o moście: składa się z trzech części, pierwsza to 3,5 kilometrowy tunel, następnie sztuczna 4 kilometrowa wyspa, a na koniec wielki 8 kilometrowy most wznoszący się w najwyższym punkcie 57 metrów nad poziomem morza. Pylony mają wysokość 203 metrów. Most jest dwupoziomowy, poniżej jezdnii poprowadzona jest linia kolejowa. Również po 24 godzinach jazdy jesteśmy na miejscu, czyli w Krainie Trolli – Jotunheimen. Nocujemy w starym, zabytkowym tartaku, który okazuje się wymarzoną miejscówką (nie wiemy jeszcze wtedy w jak wielu uroczych miejscach przyjdzie nam podczas tej wyprawy nocować).

– 29 IV –

Rano podjeżdżamy do Spiterstulen – miejsca rozpoczęcia wędrówki na najwyższy szczyt Norwegii i jednocześnie całej Skandynawii. Galdhopiggen ma 2469 m n.p.m. ale droga na tą górę jest naprawdę łatwa. Mogły wystąpić problemy z powodu marnej widoczności, jednak pomogła nam ekipa skitourowców która zostawiała na śniegu wyraźne ślady. Wejście i zejście zajęło nam cały dzionek, więc wieczorem przydał się relaks przy ognisku przed „naszym” tartakiem.

Kilka słów o Spiterstulen: Do położonej w dolinie pomiędzy Galdhopiggen a Glitterind małej osady z szosy nr 55 prowadzi ślepa droga, jest ona płatna – 50 koron od auta.

Najlepiej zapłacić od razu po przyjeździe. My tego nie zrobiliśmy więc zastawiono nam jedyny wyjazd traktorem. Jak się dowiedzieliśmy już po zejściu z góry (pozdrowienia dla poznanej tam praktykantki z Polski!) – nie zawsze jest ta droga przejezdna. Właściwie to mieliśmy sporo szczęścia bo za parę dni miała być ona zamknięta z powodu roztopów. Oznaczałoby to maszerowanie z plecakami dodatkowo 18 km w jedną stronę.

Oschła jakaś ta relacyjka wyszła... Ale jak ja mam opisać to co się czuło budząc się ze śpiewem ptaków, wyglądając z namiotu i widząc ośnieżone szczyty ponad lasami. Jak opisać zapach otaczającego lasu i szum górskiej rzeki albo wrażenia z kąpieli w jej lodowatej wodzie? Te pierwsze dni dały nam sporo szczęścia, a potem... potem było jeszcze lepiej.

– END –

Monte Rosa – spacer po 4 tysięcznikach

Kiedy: VIII 2011

Kto: Dzik, Paweł, Aga

Gdzie: Szwajcaria – Monte Rosa

Zdjęcia: Dzik

Tekst: Aga

Trzeba było w końcu gdzieś pojechać... Każda niespokojna, górską dusza wie, że jej weltschmerz mogą ukoić tylko lodowce, granie, śniegi z odpowiednią dawką adrenaliny. Padło na Monte Rosę. Możliwość zdobycia tak wielu czterotysięczników na jednym wyjeździe kusiła niepomnie, a trzeba przyznać, że

nasza trójka jest wyjątkowo nieodporna na tego typu pokusy.



1 dzień

Wyjechaliśmy na początku sierpnia w składzie:

- ja – pasjonatka wszystkiego co ma powyżej 700m n.p.m., a w szczególności powyżej 3000 m n.p.m. jest lodowe, graniowe, z ekspozycjami i do wspinania
- Dzik.mania – zaliczania, kolekcjonowania, zdobywania szczytów koron Sudetów, Europy, Gór Europy i tylko on wie czego tam jeszcze
- Paweł – ówczesny prezes naszego Klubu, coraz bardziej zatracający się w wysokogórskich ambicjach

Po 13h jazdy dotarliśmy do Tash, gdzie z bólem serca zapłaciliśmy 40 euro za tygodniowy parking Dzikowej „Baryłki”. Taxi Freddy podwiozł nas do Zermatt (6 CHF/os). Tylko chwilę dyskutowaliśmy o możliwości wjazdu kolejką, ale dbając o czystość stylu (i nasze anorektyczne portfele, cena ok. 30 euro/os) zdecydowaliśmy się iść pieszo. 20kg na plecach dało nam popalić, ale po 10h dotarliśmy pod schr. Monte Rosa. Pierwszy nocleg na 2300m n.p.m.



2 dzień

Pobudka wcześnie rano, „mleczne starty”, plecaki na zbyt obolałe plecy i w drogę. Trasa od schroniska jest bardzo słabo oznakowana, lub aż nazbyt dobrze- kamienne kopczyki prowadzą nas w każdym możliwym kierunku. Idziemy początkowo ścieżką, później kluczymy między głazami, każdy swoją najwłaściwszą trasą.

Po paru godzinach z trudem i pianą na ustach, gramolimy się pod ostatnie podejście, wzbudzając litość i zainteresowanie naszymi plecakami. Szlak jest tu lepiej oznaczony, teraz

irytują obsuwające się spod nóg kamienie. Wymęczeni znajdujemy świetne miejsce pod namiot przy samym lodowcu. Wokół jest wiele takich platform, osłoniętych murkami, ale tylko jeden nasz namiot. Rozbiliśmy biwak już koło południa, po wypoczynku i popasie wyruszyliśmy na rekonesans po lodowcu. Początkowo jest on bardzo poszczeliniony, ale wszystkie szczeliny są widoczne. Dobrze jest go obejść z prawej strony, co też zrobiliśmy. Ten mały spacer okazał się niezapomniany z racji zachodu słońca na tle alpejskich olbrzymów. Natura zawstydziła photoshopa. Naładowani pozytywną energią „niczym grzybki w Czarnobyli”, schodzimy do namiotu by spotkać nieoczekiwanego gościa.. Dzik zauważył go gdy wychodził z kubka po zupce. Wredne myszysko zjadło nam pół jabłka, bakalie i wygryzło dziurę w namiocie.



3 dzień

Od samego początku zapowiadało się kiszgowato. Wiatr próbował za wszelką cenę porwać nasz namiot na strzępy. Wyjście z ciepłych śpiworków na ten huragan w pełni potwierdziło tezę, że nie mamy jakiegoś ośrodka nerwowego w mózgu. Przez parę godzin napieraliśmy na Dufourspitze, mimo, że prawie nas zmiatało ze stoku. Na przełęczy, mając przed sobą wizję jak nas zdmuch...je z grani, decydujemy się na odwrót. Tnie lodem, zapiera oddech, nie czuję palca- najwyższy czas stąd spadać. O 9 jesteśmy znów w namiocie. Jak na złość w południe wypogadza się i jest po prostu pięknie. Chłopaków rozpiera energia, więc wybierają się na rekonesans jutrzejszej drogi, ja spędzam resztę dnia opalając się i objadając.. sielanka.



4 dzień

Nikt nie ma ochoty próbować znów klasyczną drogą, więc

decydujemy się przenieść nasz cały majdan na wysokość ok. 4000 m n.p.m. i stamtąd atakować pobliskie szczyty. Tyramy przez lodowiec i mimo, że wyszliśmy dość wcześnie, idziemy w pełnym słońcu, pot leje się strumieniami. Lodowiec...hmm...jest co najmniej interesujący.. lodowe groty zieją błękitem, każdy mostek śnieżny przyprawia o palpitację serca, zaliczamy nawet lodowy wspin po serakach. Pod koniec drogi stało się coś niewiarygodnego- Dzik zaniemógł. Mniej by mnie zdziwił tabor z tańczącymi Cygankami na lodowcu, niż ślamarzący się z tyłu Dzik. Znajdujemy sobie wypłaszczenie na wys. ok. 4200m, ok. 500m od „szlakowej autostrady” i budujemy z Pawłem lodowy mur wokół namiotu. Paweł w budowlanym zapędzie stworzył nawet kibel. Potem wskoczył sobie jeszcze na parę czterotysięczników, jak gdyby nigdy nic. Tak sobie myślę, że ta niespożyta energia, którą epatował Paweł i to wyczerpanie Dzika mogły mieć ze sobą coś wspólnego...



Zrzut.pl

5 dzień

Pogoda idealna, spręż jest, „samo się nie wejdzie”, napieramy! Niestety bez Dzika- dalej w kiepskiej formie postanawia zostać w namiocie, zresztą na Duforze już był rok wcześniej. W szybkim tempie zdobywamy Zumsteinspitze i ruszamy dalej „trasą” na Dufora. „Trasa” okazuje się być fantastyczną drogą wspinaczkową (jak później się okaże AD III). Dla takich chwil się żyje. Dla takich dróg poświęcamy swój cały wolny czas, znosimy konflikty rodzinne, wydajemy wszystkie oszczędności, wnosimy dziesiątki kg na plecach. Szczyt osiągamy po 3h. Schodzimy stromym żlebem, po łańcuchach na przełęczkę, gdzie zostawiamy plecaki i na „lekko” zaliczamy Nordenda- luz blues. Powrót. Tu zaczynają się problemy. Okazuje się, że droga powrotna do namiotu jest tylko jedna, ta, która przyszliśmy, przez grań. Ponadto zgubiliśmy gdzieś mapę. Decydujemy się wejść na pobliską przełęcz, licząc, że za nią jest „nasza przełęcz”. Jednak nie. Namiot jest za dwoma graniami i nie

damy rady do niego dziś wrócić. Paweł podsuwa najlepsze rozwiązanie- schodzimy 2000m w dół, do schr. Monte Rosa. Zniszczeni słońcem, wysiłkiem, ale upojeni sukcesem, meldujemy się w schronisku o 20. Nie wiem co było gorsze: nocleg za 100zł bez prysznic, czy kolacja składająca się z połówki czekolady...



6 dzień

Pobudka 6 rano i znów dymanie do góry, 1500m przewyższenia, do namiotu, do śniadania! Od wczoraj zjedliśmy może po 400kcal. O 12 jesteśmy znów w kochanym namiociku, woda już się gotuje na pyszną zupkę chińską z kabanosem i olejem. Okazało się, że Dzik wydobrzał na tyle, że zaliczył sobie cztery kolejne 4tysięczniki. Niestety wysokość, brak tlenu, wcześniejszy kryzys odbiło się trochę na jego psychice.. Biedaczek..



Słodkie lenistwo, słodkie czekoladki.. Wieczorem spacer na pobliski Parrotspitze, Paweł w tym czasie obleciał Ludwigshöhe, Piramidę Vincent i Cerro Negro.

7 dzień

Po tygodniu pobudek o 2 nad ranem (gotowanie zajmowało nam ponad 2 godziny) miałam dość. Wyprana zupełnie z sił zostałam w namiocie, podczas gdy chłopcy poszli na [Lyskamm](#). Nawet się dobrze nie wyspałam, gdy wrócili po 4 godzinach, urzeczeni widokami, zafascynowani nawisami i trzęsący się z emocji. Chcieli mi chyba bardzo dokładnie mi uświadomić ile straciłam, pokazując zdjęcia jak z national geographic. Dokładny opis ich wyjścia znajdziecie na [dzikumaniak.pl](#). Zdjęcia: 3585, 3620,

3626, 3635, panorama 1 Biorąc wszystko zusammen do kupy, okazało się, że żadnej góry nie zdobyliśmy w pełnym, trzyosobowym składzie. Weszliśmy więc na Piramidę Vincent. Zaliczyłam jeszcze solówkę na Cerro Negro i Ludwigshöhe. Wylegując się później w śpiworach uznaliśmy, że skoro jest tak wcześniej to możemy zejść w dół, pod lodowiec. To był błąd. Jeśli ktoś, kiedyś proponuje Wam schodzenie lodowcem o innej porze niż bardzo wczesny ranek, stanowczo krzyczcie „nie!”. Zbiegając po lodowcu prawie nie połamaliśmy nóg, było bardzo niebezpiecznie, nieprzyjemnie i stresująco. Na koniec jeszcze skręciłam kostkę.



8 dzień

Wracamy i wracamy.. Dwa razy wolniej niż wchodziliśmy przez moje ślimacze tempo spowodowane opuchniętą kostką. Okwiecone Zermatt wyglądało i pachniało pięknie, w przeciwieństwie do nas, tygodniowych „niedomytków”. W Tash odwiedzamy jeszcze kampingowe prysznice i ruszamy Baryłką do domu.



Wyniki:

Prezes: 10 szczytów

Aga: 8 szczytów

Dzik: 8 szczytów

INFORMACJE PRAKTYCZNE:

- Na terenie Szwajcarii obowiązują winiety, są tylko roczne, koszt ponad 100zł
- Wszystko co we frankach jest kosmicznie drogie, np. woda w schronisku 7CHF
- Warto mieć dobrą, dokładną i aktualną mapę, szlaki kiepsko oznaczone
- Świetne miejsca pod namiot znajdują się ok. 2 godz za schr.

Monte Rosa- kamienne platformy, otoczone murkami, pod samym lodowcem. Mogą być problemy z wodą

- W schronisku Monte Rosa nie ma prysznicy ani pitnej wody (ale nie wybrzydzaaliśmy)
- Z Tash do Zermatt można dostać się tylko bussem lub pociągiem, samochód trzeba zostawić na parkingu (za tydzień zapłaciliśmy 40euro)
- Klasyczna droga na Dufourspitze (od schroniska) nie przedstawia większych trudności, droga z Zummsteinspitze ADIII wymaga uniewrażliwienia na duże ekspozycje, przydadzą się też większe kości, friendly i taśmy

Tekst: Agnieszka Kruk

Zdjęcia: Dziku

Model (przeważnie): Prezes (Paweł Kudła)



Zrzut.pl

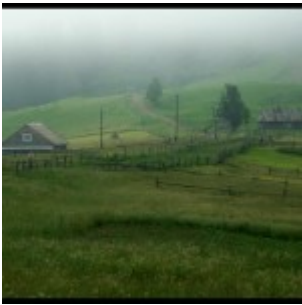
– END –

Węgry – ale Kékes...

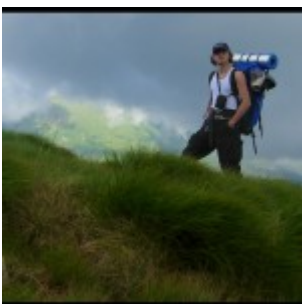
Cel – Kékes (1014 m n.p.m.) – zdobyty

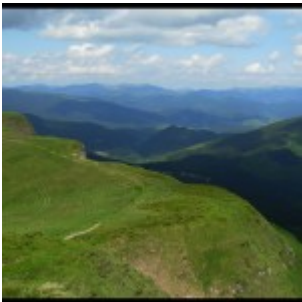
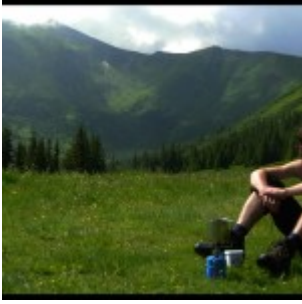
Kiedy – czerwiec 2009

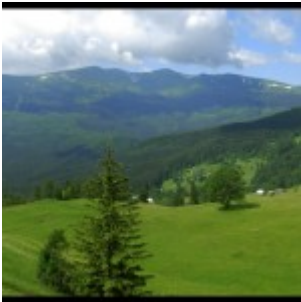
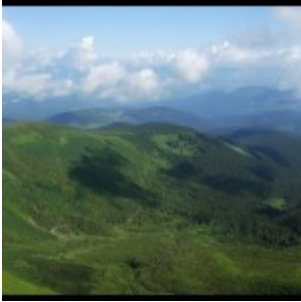
Kto – Dziku & Ola & Marek & Łukasz











O północy opuszczamy [Bośnię i Hercegowinę](#). Chyba nas Bośniacy polubili bo sympatyczny pan celnik trochę nas na granicy przetrzymał w aucie. Pewnie sprawdzał nasze dane na naszej klasie. Po jakiejś pół godzinie jednak podszedł, oddał dokumenty, podziękował że tyle zechcieliśmy czekać, po czym jeszcze kilkakrotnie przeprosił i pomachał nam z uśmiechem.

Kawałek dalej, w Serbii, zatrzymuje nas bardzo groźnie

wyglądający policjant. Pomagając sobie świecącym czerwonym lizakiem ogląda uważnie każdą z naszych opon po czym z uśmiechem pozwala jechać dalej. O co mu chodziło z tymi oponami – nie wiem – ale podobno to u nich częste.

Po całonocnej jeździe, jeszcze przed południem udaje nam się zdobyć zachodnią – asfaltową ścianę Kékesa. Jakoś dajemy radę wspiąć się te ostatnie metry od parkingu. Ja w skręconych śrubką klapkach i spodniach od Oli (moje spodnie na zawsze pozostały w Bośni gdyż zupełnie się na Magliciu roztargały), Marek w sławnych Bermudach (pokonał w nich większość drogi na Maglic), Ola w sentymentalnej chustce w barwach naszej klasy, a Łukasz w spodniach, w których dotychczas wstydził się nawet po domu chodzić.

Na górze są stragany z pamiątkami. Próbowałem tam wytłumaczyć starszym paniom, że chciałbym zakupić kieliszek z napisem „Węgry”, ale pani kompletnie mnie nie rozumiała. Najpierw przekonana była że chodzi mi o flaszkę, ale wtedy z pomocą przyszedł mi Łukasz i pokazał ruch jaki się robi przy wychylaniu kielicha. No i cóż, pani od pamiątek szczęśliwa że nas zakumała wstała i pokazała na pobliski bar. No trudno, wrócę ze szczytu bez węgierskiego kieliszka.

– END –

Gerlach – w końcu zasłużenie niezdobyty

Kiedy: I 2012

Kto: Dzik, Tomek, Aga, Łukasz

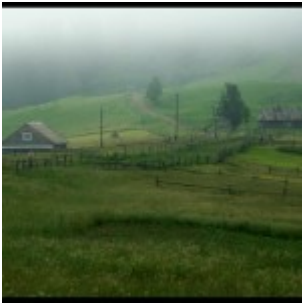
Gdzie: Słowacja

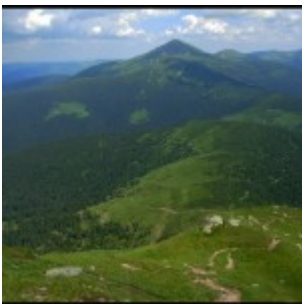
Do 3 razy sztuka? No nie bardzo. Pocieszające jest to, że

wycof był w miarę uzasadniony. To tak dla odróżnienia od poprzednich prób, kiedy to mieliśmy piękną pogodę i doskonałe warunki a mimo to na szczyt nie trafiliśmy. Tym razem silny wiatr i obfite opady mokrego śniegu (3-ci stopień zagrożenia lawinowego) skutecznie nas zniechęciły do podjęcia próby wejścia na grań.

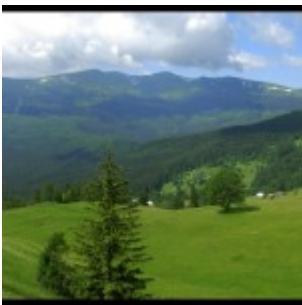
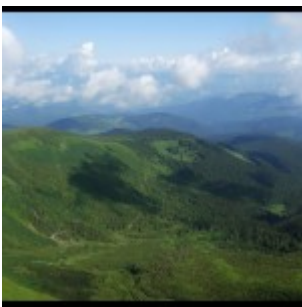
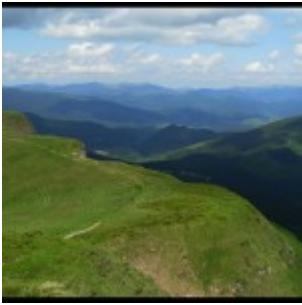
Wygląda na to, że Gerlach kandyduje na moją „najtrudniej dostępną górę Korony Europy”. I pora roku nie ma tu nic do rzeczy. Kwestia nastawienia psychicznego. Trudno, za czwartym razem na pewno się uda.













– END –

Irlandia – Carrantuohill

Pasma: Macgillicuddy's Reeks

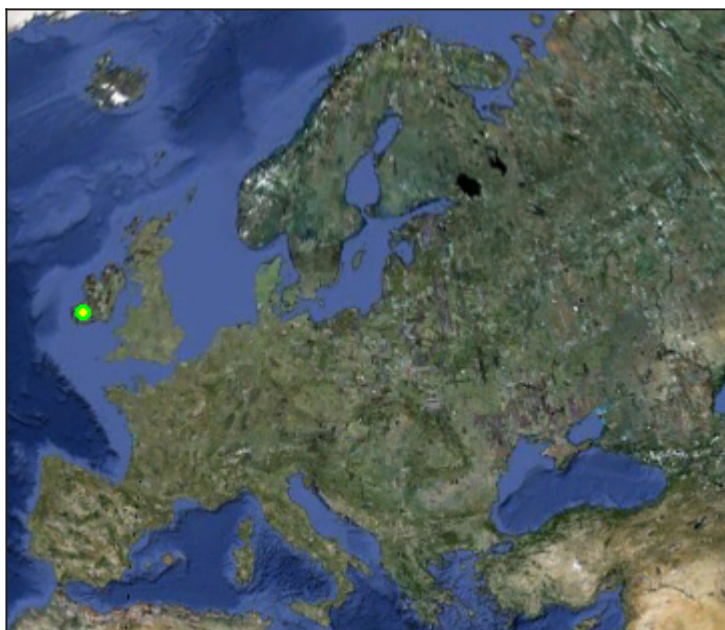
Państwa: Irlandia

Najwyższy szczyt: Carrantuohill

Wysokość: 1038 m. n.p.m.

Miejscowość: Killarney-Gortboy

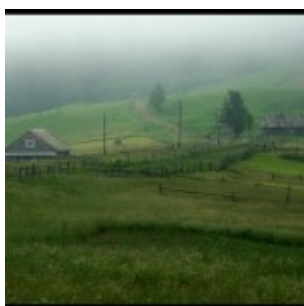
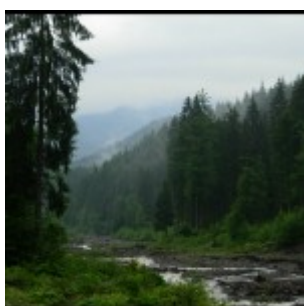
Szacowany czas: 1 dzień



Macgillicuddy's Reeks to góry ładne i przyjemne. Szczególnie

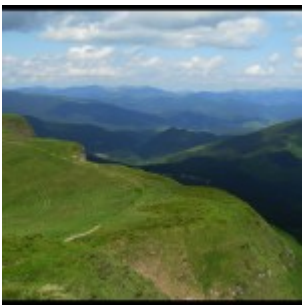
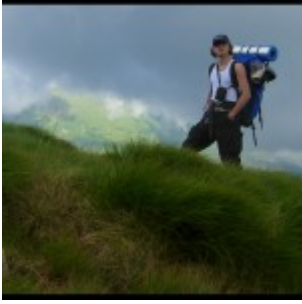
jak nie pada. Wszędzie wkoło biegają owieczki. Wilków brak. Miejscowa ludność przyjaźnie nastawiona. Osobiście czułem się tam wolny i szczęśliwy. Myślę, że jeszcze ciekawiej byłoby odwiedzić te góry zimą. Ale obojętnie o jakiej porze roku – polecam i zachęcam.

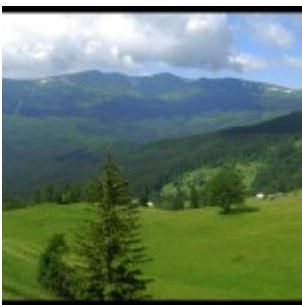
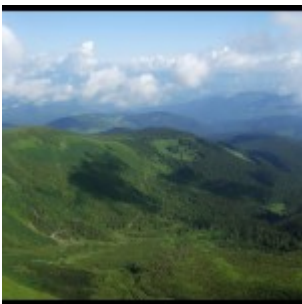
Galeria











Relacja

Cel – Carrantuohill (1038 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2010

Kto – Dzik

Sobota, późny wieczór, dom w małej miejscowości u podnóża gór. Najedzony, umyty i ogolony siedzę sobie i popijam irlandzkie piwo. A przecież zaledwie parę godzin temu stałem przemoczony w chmurze jakieś 900 metrów wyżej. Skakałem po śliskich skałach ostrej grani i nie miałem pojęcia gdzie spędzę noc. Teraz przypomina mi o tym uczucie zmęczenia oraz stojące w kącie, wypchane gazetami buty. Jak to się stało, że teraz siedzę w gaciach i sprawdzam na laptopie pocztę? Zaczęło się to kilometr stąd, dwa dni wcześniej.

Czwartkowe popołudnie. Miejsce zwane Beaufort Bridge. Kończy się moja podróż autobusem i jednocześnie kończy się kac po zwiedzaniu poprzedniej nocy dublińskich pubów. Z kilkunastokilogramowym plecakiem ruszam asfaltową drogą w kierunku gór. Po 9-ciu km dochodzę do parkingu. Na murku instrukcje dla wybierających się w góry. M.in. było tam napisane „Do not climb alone”. Nie wiem co to oznacza, nie mam talentu do języków obcych.

Maszeruję dalej. Po przekroczeniu rzeczki rzuca mi się w oczy miejsce pokryte grubą, i przede wszystkim zupełnie suchą ściółką. Jak się potem okazało były to jedyne suche 2 metry kwadratowe na całej Wyspie. Idealne miejsce na mój mały domek składający się z samego tropiku i stelaża. W nocy budzą mnie silne podmuchy wiatru i deszcz. Namiot znosi to dzielnie więc bez problemu zasypiam.

Budzę się rano i widzę góry, słońce, i tęczę. Miałem dziś bojkotować irlandzki klimat. W tym celu zamiast utworów

Clannada czy Loreeny McKennitt nagrałem sobie muzykę zespołu Sabaton i Marylina Mansona. Rozglądam się jednak i wiem, że się nie uda. Jest pięknie. Na szczęście wynajduje jeszcze katalog z muzyką Olivera Shanti. Pasuje jak ulał. Jem śniadanie, składam domek i ruszam w górę. Dochodzę do miejsca gdzie zaczyna się strome podejście na grań zwane Devil's Ladder. I znów tabliczka z zupełnie dla mnie niezrozumiałym zdaniem w języku obcym: „travellers are strong advised to avoid the route”. Wyrażenie „advised to avoid” tłumaczę jako „prosto do góry”, więc pnę się po kamieniach do góry i wkrótce staję na grani. Stąd – już w chmurach – po ścieżce i kopczykach kieruję się na szczyt Carrauntoohil. Dopiero na samej górze zauważam we mgle 5-cio metrowy krzyż. Po powrocie ktoś mnie zapytał co się myśli stając na najwyższym szczycie Irlandii. Ja np. sobie pomyślałem coś w stylu: „Ja pier.ole, nic nie widać”. Ale nic to, ważne, że szczyt zdobyty. Decyduję się teraz potrenować orientację z mapą i kompasem. Po omacku trafiam na odpowiednią grań i wkrótce staję na Beenkeragh – drugim pod względem wysokości szczycie Irlandii. Zaczyna się coraz bardziej rozpogadzać. Po przeciwległej stronie doliny wyłania się kolejny cel. Jest to Caher, który wraz z poprzednimi dwoma górami tworzy trójkę jedynych szczytów na Wyspie przekraczających 1000 m. n.p.m. Kiedy na nim staję niebo jest już zupełnie błękitne. Wyraźnie widzę krzyż na szczycie Carrauntoohil. Postanawiam wejść tam raz jeszcze. Taka pogoda w tych górach to podobno rzadko spotykane zjawisko. Wcześniej jednak wchodzę na położony obok wierzchołek o wysokości 975 m. To już w ramach planu wejścia na wszystkie irlandzkie 3-tysięczniki, czyli szczyty o wysokości przekraczającej 3000 stóp. Zatem popołudniu, już przy doskonałej widoczności, siedzę raz jeszcze pod krzyżem. Jest piękna pogoda a mi się nigdzie nie śpieszy. Pełen luz.

Wyluzowałem się tak bardzo, że dopiero po zejściu z grani zauważyłem brak kurtki. Nie mogę uwierzyć – jak można będąc w irlandzkich górach zgubić kurtkę? Jak można w ogóle zgubić kurtkę? A jutro co zgubię? Buta?! Nie mogąc się z tym pogodzić

wbiegam niczym Hussein Bolt raz jeszcze na grań. Kurtki jednak nie widzę. Przez moment rozważam wejście po raz kolejny na szczyt. Nie chcę jednak nabawić się jakiejś awarii na skutek przeforsowania. Zbiegam na dół i powolutku maszeruję w kierunku ujścia doliny. Wymyślam sobie, że jest to znak, że czas najwyższy kupić nową kurtkę. I że ta nowa kurtka życie mi wkrótce uratuje. Z zadumy wytrąca mnie para, która jako ostatnia schodziła ze szczytu. -Did you lose something? – dziewczyna podaje mi moją zgubę. Zamiast się cieszyć zrobiłem minę jakbym był w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przecież ja już sobie historyjkę wymyśliłem. A tutaj co? „Oszukać przeznaczenie”? Ale jak pomyślę o zapowiadanych na jutro deszczach... No dobra, sięgam po kurtkę, dziękuję uprzejmie. Najwyżej jutro ją zgubię. Namiot rozkładałam w tym samym miejscu co wczoraj. W nocy znów przychodzi do mnie ten sam żuk, te same pająki i mrówki. I ponownie ten sam schemat, żuka wypraszam na zewnątrz, pająki zabijam, a mrówki... mrówek już nie ruszam. I tak po roznieceniu wstają i idą dalej. Noc jednak różni się tym od poprzedniej, że jest bezwietrzna, a niebo jest zupełnie czyste. Zasypiam przy otwartym namiocie. Nade mną gwiazdy i księżyc w pełni.

Rano pogoda nie jest najlepsza, ale postanawiam zrealizować drugą część planu i przejść się po grani i pozostałych wierzchołkach. Jest sobota, na drodze sporo turystów. Dlatego omijam tym razem Devil's Ladder i wchodzę na górę inną drogą. Przy bardzo kiepskiej widoczności posuwam się granią – zresztą momentami bardzo ostrą – na wschód. Wchodzę kolejno na: Cnoc an Chuillin (958), An Saru (926), Maolan Bui (973), Cnoc na Peiste (988), Big Gun (939) oraz Cruach Mhor (932).

Dochodzę do obniżenia i robię dziwną rzecz. Zamiast podejść ścieżką na ostatnie – 700 metrowe wzgórze i dojść do asfaltowej drogi w Gap of Dunloe, tak jak przecież od początku planowałem, postanawiam trawersować i zacząć już schodzić z gór. Była to całkowicie błędna decyzja. Okazało się, że przez długi czas musiałem przedzierać się przez zarośla i kiedy

dochodzę do zabudowań jestem kompletnie przemoczony i zmęczony. A przede mną jeszcze kilka kilometrów asfaltowej drogi do... no właśnie. Właściwie to ja nawet nie bardzo wiedziałem dokąd idę. I po co.

Kiedy dochodzę do Beaufort Bridge jest 20-ta. Zatem wędruję z plecakiem od 12-tu godzin. Autobusy do Killarney już tego dnia tędy nie przejeżdżają. Stoję na skrzyżowaniu i wmawiam sobie, że jest jakiś powód dlaczego tu jestem o tej porze. Musi być jakiś powód dlaczego nagle zszedłem z gór i stoję tu teraz bezradnie, 10 km od Killarney, skąd dopiero jutro rano mam autobus do Dublina. Aby ten powód poznać musiałem spędzić tam 10 minut. Po takim czasie wystawiam rękę i decyduję się łapać stopa do miasta. A potem... potem zobaczymy co dalej. Po paru minutach zatrzymuje się samochód. Kierowca ma na imię Steve. Podczas jazdy dowiaduję się, że jest muzykiem i dosłownie wczoraj świętował wydanie płyty. Pyta się, czy śpię w Killarney ponieważ zaprasza mnie na koncert, jaki dzisiaj grają w jednej z restauracji. Ja określam mu krótko moją sytuację. Steve puszcza płytę z irlandzką muzyką. Podaje mi pudełko i pokazuje na mężczyznę na okładce. Mówi – „Prześpisz się więc u niego”. I tak, po drobnych zakupach w mieście ląduję z powrotem w Beaufort. W domu, w którym mieszka Aaron i Brendan, a także tymczasowo Steve.

Po obiedzie Brendan i Steve jadą na koncert. Ja postanawiam zostać, żałuję tego bardzo ale czuję, że tego dnia nie utrzymam się już długo na nogach. Do późna rozmawiam z Aaronem. Dowiaduję się od niego m.in., że zna sławnego irlandzkiego polarnika i jedyne go człowieka na świecie, który dwukrotnie wszedł na najwyższe szczyty każdego z kontynentów, w tym oczywiście również na Everest. Ten człowiek to Pat Falvey i... mieszka parę domów dalej. Żałuję, że nie mogę zostać tu chociaż dzień dłużej. Ale i tak jest pięknie: sobota, późny wieczór, dom w małej miejscowości u podnóża gór. Najedzony, umyty i ogolony siedzę sobie i popijam irlandzkie piwo...

Rano jem śniadanie i szykuję się do wyjścia. Na żadnego z

lokatorów się nie natknąłem. Może odsypiają koncert. Zostawiam notkę i idę na to samo skrzyżowanie co wczoraj wieczorem. Dziś świeci słońce i jest piękny dzień. Do tego mam wyjątkowe szczęście, bo od przyjscia na przystanek już po minucie przyjeżdża autobus do Limerick. Szczęście albo i nie. Bo tym samym zakończyła się przygoda z irlandzkimi górami.

Dla miłośników klimatu: jeden z utworów Brendana znajduje się w linku

<http://www.myspace.com/brenosullivan>

Na zakończenie cytaty z książki Pata Falvey'a:

„IF YOU THINK YOU CAN, YOU WILL. IF YOU THINK YOU CAN'T, YOU WON'T”

– END –